

PAUza

Akademicka



Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 72

Kraków, 11 marca 2010

WYDANIE SPECJALNE

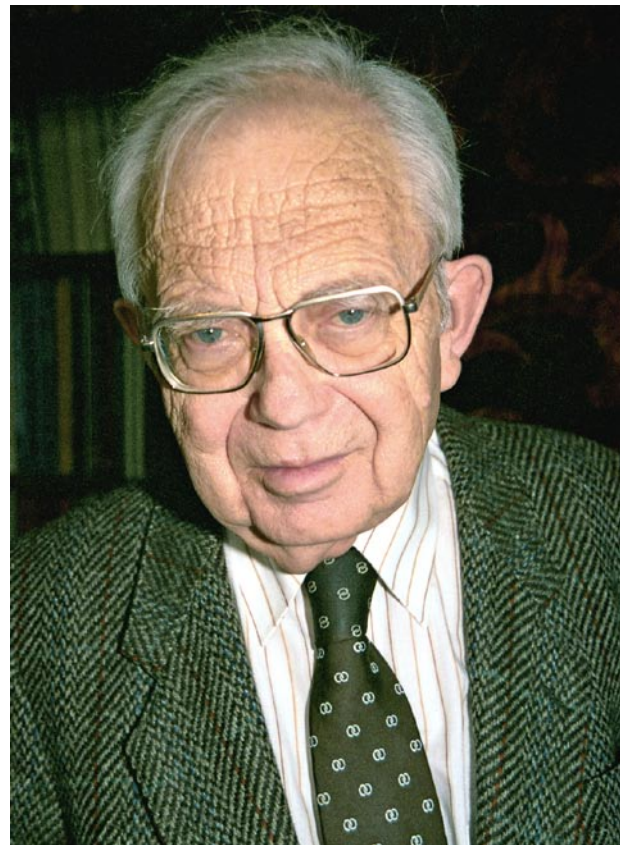
80-lecie urodzin Jerzego Wyrozumskiego

Drogi Jerzy, Drogi Leszku,

Wielki to dla mnie zaszczyt wystąpić z okazji Twojego Święta w tak naładowanym historią miejscu, jakim jest pierwsza Aula Polskiej Akademii Umiejętności. Akademii, której poświęciłeś ostatnie dwadzieścia pracowitych lat. Wiesz bowiem dobrze, i poświadczasz to swoim zaangażowaniem, że Akademia, która potrafiła oprzeć się burzom dziejowym ostatniego stulecia, daje niezwykłą szansę podtrzymania tego, co najlepsze, co najcenniejsze w tradycji naszego Królewskiego Miasta. Jej powstanie było przecież wyrazem wielkich ambicji, ambicji nadania dawnej stolicy Polski charakteru wyjątkowego, elementem tworzenia „Polskich Aten”. I jest rzeczą godną najwyższego podziwu, że dzisiaj znowu wspaniali ludzie, tacy jak Ty, chcą i potrafią ten wielki zamysł kontynuować.

A przecież jesteś przybyszem, przyjechałeś tutaj wiele lat temu jako młody człowiek, wygnaniec ze Wschodu. Niemniej, potrafiłeś wtopić się w nadwiślańską atmosferę, zrozumiałeś i – śmiem powiedzieć – pokochałeś Kraków. W rezultacie, z biegiem lat stałeś się prawdziwym filarem krakowskiej tradycji. Nie sposób wymienić wszystkiego. Ale wspomnijmy jednak 30 lat przewodzenia Towarzystwu Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Towarzystwu najbardziej krakowskiemu z krakowskich. Wspomnijmy życie historyka, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie zostawiłeś legion uczniów i gdzie pełniłeś najbardziej odpowiedzialne funkcje i to w najtrudniejszych czasach. Wspomnijmy wreszcie – chociaż w tym miejscu nie potrzeba (a może nawet nie wypada) tego mówić – że byłeś jednym z głównych architektów odrodzenia Polskiej Akademii Umiejętności i że to dzięki Twojej wytrwałej pracy Akademia rozbłysła i promieniuje na całą polską naukę.

Ale najważniejsza jest Twoja OBECNOŚĆ. Obecność wszędzie tam, gdzie nauka polska, gdzie Miasto Cię potrzebują. A potrzebują Cię stale, bo Profesor Jerzy Wyrozumski to dzisiaj prawdziwa Instytucja.



fot. Andrzej Kobos

Drogi Leszku, w imieniu całego zespołu Polskiej Akademii Umiejętności życzę Ci zdrowia i powodzenia. Życzę Krakowowi, abyś jeszcze przez długie lata mógł służyć swojemu miastu z całym zaangażowaniem. Życzę Akademii, aby mogła dalej eksploatować Cię ponad miarę – jak dotąd.

ANDRZEJ BIAŁAS

Kraków, 8 marca 2010



Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

Jerzy Wyrozumski

Osiemdziesiąta rocznica urodzin Jerzego Wyrozumskiego stanowi znakomitą okazję do sformułowania paru refleksji dotyczących po pierwsze Jubilata, po drugie – polskiej historiografii, po trzecie wreszcie – do poczynienia uwag dotyczących kondycji naszej nauki. Owe refleksje bowiem nie dotyczą jedynie osoby uczonego, działacza społecznego, nauczyciela akademickiego, lecz, może nawet przede wszystkim, stanowią mogą kanwę rozważań o dziejach Polski w ciągu ostatniego półwiecza, o postawach polskich intelektualistów.

Życie i działalność Profesora Wyrozumskiego wyjaśnia dlaczego w latach zniewolenia i niepodległości Państwa, w okresach niedostatku materialnego i narastającego kryzysu państwa, etos uczonego cieszył się i cieszy nadal uznaniem społecznym i prestiżem. Dlaczego, mimo wielorakich przerw w życiorysie polskiej nauki, stanowiła ona fundament więzi społecznej i narodowej Polaków, dlaczego wreszcie, mimo różnych przeciwności politycznych i trudności materialnych dorobek naszych uczonych był znany i ceniony w świecie.

Autorytet Jubilata rodził się wraz z Jego twórczością zawodową. Studia odbywał u znakomitych mistrzów rzemiosła historycznego: Romana Grodeckiego, Zofii Kozłowskiej-Budkowej, Sylwiusza Mikulskiego. Uczył się nie tylko warsztatu badawczego, lecz także zdobywał – jak na członka krakowskiej wspólnoty humanistów przystało – postulowane wartości właściwe uczonym, by – jak głosi przyrzeczenie doktorskie – działać „nie dla próżnej chwały, nie dla brudnego zysku, lecz by więcej prawdy głosić i jej światło rozpowszechnić.” Dał się poznać jeszcze przed swym doktoratem, kiedy występował na Zjeździe Młodych Historyków w Warszawie polemizując z politycznymi propagandystami.

Imponujący jest Jego dorobek naukowy. Blisko pięćset pozycji wydanych drukiem, nie licząc wieloletnich wykładów i licznych publikacji wydanych pod Jego redakcją. Wśród prac, które zapewniają Mu godne miejsce w historiografii, należy wymienić studia nad dziejami górnictwa, rzemiosła i handlu, klasyczne już dzisiaj studia o kształcie i znaczeniu różnych wspólnot w średniowiecznej Polsce – czeladniczych, chłopskich, religijnych, etnicznych.

Jest On autorem fundamentalnej syntezy o dziejach średniowiecznego Krakowa, *Dzieje Krakowa – t. 1 – Kraków do schyłku wieków średnich*, przez pryzmat której ukazane zostały zjawiska ważne nie tylko dla miasta lecz także dla całego kraju. Umiejętnościom tworzenia wielkich syntez dał dowód pisząc znakomity i oryginalny podręcznik uniwersytecki *Historia Polski do roku 1505*. Jak dalece potrafił połączyć warsztat uczonego z potrzebami popularyzacji wiedzy pokazał w monografii *Kazimierz Wielki*, która doczekała się drugiego wydania.

Nie do przecenienia jest dorobek Jerzego Wyrozumskiego w działalności społecznej i organizacyjnej polskiego środowiska naukowego. Członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności i jej sekretarz generalny od 1994 roku, dziekan Wydziału Filozoficzno- Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego i prorektor tej flagowej polskiej uczelni w najtrudniejszych bodaj latach powojennych – 1987–1990. W tym też czasie stał się ikoną samorządności akademickiej i obrony demokratycznych wartości. Nie tylko Polskę, lecz wiele krajów świata, obiegnęła fotografia ukazująca Jerzego Wyrozumskiego samotnie broniącego Uniwersytetu przed wkroczeniem zbrojnych oddziałów milicji z podpisem „plus ratio quam vis”.

Środowisko naukowe ma powody do wdzięczności. Nie tylko za postawę godną profesora polskiej uczelni wyższej, lecz także za życzliwość wobec kolegów, uczniów, licznych miłośników historii skupionych w towarzystwach naukowych, w pierwszym rzędzie Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, Rady Naukowej Biblioteki PAU-PAN, a następnie wielu środowisk regionalnych i lokalnych. Wszyscy korzystali z pomocy i rady Profesora Jerzego Wyrozumskiego, z Jego inspiracji dotyczących propozycji badawczych, sposobów rozwiązywania problemów. Także z form prowadzenia dyskusji, z umiejętności stawiania pytań, co – jak wiadomo od czasów mistrza Abelarda – stanowi „klucz mądrości”.

Za dorobek Mistrza, za Jego mądrość, dobroć i życzliwość dla bliźnich należy Mu się wielka wdzięczność.

HENRYK SAMSONOWICZ



fol. Adam Walanus

Góry u Jana Długosza¹

[...] *Chorographia Regni Poloniae* Jana Długosza jest dziełkiem niedużym. [...] Generalnie, Długosz stwierdza, że Polska ma mniej gór niż inne kraje. Jest równinna i płaska, stąd też bierze się jej nazwa. Ma jednak liczne góry i wzniesienia, *quam plures montes tam saxeos quam terreos*. Autor zapowiada, że w swoim opisie zatrzyma się na ważniejszych spośród nich. Na pierwszym miejscu wymienia Kalwarię w ziemi sandomierskiej, która jest dla niego *mons excelsus*. Chodzi oczywiście o Góry Świętokrzyskie, a ściślej o Łysą Górę (*Calvus Mons*), która kiedyś miała być, według ludowej tradycji, zamieszkała przez Cyklopa. Dziełem Cyklopa miał być potężny zamek, który się na niej znajdował i po którym pozostały liczne głązy. Na górze tej osiedli benedyktyni, a ich sprowadzenie tam przypisuje Długosz Bolesławowi Wielkiemu czyli Chrobremu (992-1025). Tam miała być pozostawiona przez św. Emeryka, syna króla Węgier św. Stefana, znaczna część drzewa Krzyża świętego. Wiadomo jednak, że klasztor został ufundowany przez Bolesława Krzywoustego (1102-1138). Dalej opowiada Długosz, że kiedyś Litwini, których najazd sięgnął był Małopolski, zabrali owe relikwie Krzyża świętego, ale wiozący je wóz utknął w drodze i w żaden sposób konie nie mogły go ruszyć, a do tego wybuchła wśród nich zaraza. Za radą polskich jeńców odwieziono szczątki Krzyża na miejsce i w ten sposób Litwini mogli wrócić do siebie.

Na drugim miejscu poświęca Długosz uwagę Wawelowi. Jest to wzgórze skaliste nad Wisłą, na którym znajduje się bazylika św. męczennika Stanisława, oraz *prima ac precipua arx Cracovia*. W licznych jaskiniach tego wzgórza miał według ludowych opowieści mieszkać straszny smok, który wyrządzał mieszkańcom wielkie szkody.

Następna „góra”, zarejestrowana przez Długosza, to *Clarus Mons*, Jasna Góra w Częstochowie, tak nazwana z powodu wybudowanego na niej klasztoru i kościoła Najświętszej Marii Panny. Nie ma tu żadnego opisu geograficznego. Jest tylko ważna skądinąd wiadomość o licznych przybywających tam pielgrzymkach, których przyciąga obraz św. Marii Dziewicy – albo namalowany przez św. Łukasza Ewangelistę albo wzorowany na obrazach Matki Bożej, które jakoby wyszły spod jego pędzla. [...]

Do gór zaliczył Kronikarz wzgórze tynieckie koło Krakowa nad Wisłą z posadowionym na nim warownym klasztorem benedyktynów, pierwszym jego zdaniem spośród wszystkich klasztorów polskich. Tu jest niekonsekwentny, bo fundację klasztoru benedyktynów na Łysej Górze łączył z Bolesławem Chrobrym, natomiast fundację klasztoru tynieckiego przypisał w innym miejscu swego dzieła Kazimierzowi Odnowicielowi, a nawet podał jej datę roczną (1044). Innych osobliwości Długosz tu nie znajduje.

Dalej już tylko wylicza następujące wzniesienia na terenie Małopolski, a mianowicie Golesz koło Kołaczyc w dolinie Wisłoki, gdzie stał niegdyś zamek benedyktynów tynieckich; Liwocz w tej samej okolicy, na lewym brzegu Wisłoki, potem pobliskie wzgórze Mruków koło Żmigrodu z ruinami zamku; znad Wisłoki przenosi nas Długosz do Chęcina, przy czym uwagę jego zwraca zamek, który stoi na chęcińskim wzgórzu; dalej wymienia skalisty Rabsztyn koło Olkusza i wzgórze Pelczyska niedaleko Wiślicy. Wreszcie zatrzymuje się na Beskidzie Żywieckim. Nie dostrzega jednak masywu górskiego, ale zwraca uwagę na poszczególne wzniesienia. W rejonie Soły wymienia przede wszystkim najwyższe z nich, tj. Babią Górę, którą nazywa Babą; dalej jest Dziewka nad Sołą i w rejonie oświęcimskim Jawornik, Skrzeczno, Żarnówka, Osobita, Szadnisz, z której wypływają źródła

Koszarawy oraz Soła; dalej jest Sucha niedaleko Żywca, Wielka Puszcza koło Kęt, wreszcie Wołek nad Sołą. Niektóre z tych wzniesień, jak Szadnisz i Osobita, trudne są dziś do zidentyfikowania. [...]

Dość niespodziewanie od Wielkopolski przeskakuje Długosz do góry *Bieszkod*, która dzieliła Polskę od Węgier. Informuje, że z góry tej wypływają Dniestr, San, Stryj i Cisa, płynące w kierunku Polski, Węgier i Rusi. Czy nazwę *Bieszkod* należy odczytać jako Beskid, czy jako „Bieszczad” – odpowiedzieć trudno. Zarówno jedno, jak i drugie, jest możliwe.

Zdumiewające jest to, że Długosz zdawał się nie dostrzegać masywów górskich, a tylko pojedyncze wzniesienia. Całe Beskidy Zachodnie wymknęły się spod jego uwagi. Przy opisie gór brak jest też choćby wzmianki o Sudetach. Wyjątek stanowi tu tylko ów *Bieszkod*, odpowiadający – jeżeli sędzić po rzekach, które zeń wypływają (Dniestr, San, Stryj i Cisa) – Bieszczadom czyli zachodniej części Beskidów Wschodnich Karpat. Jeżeli jednak przyjrzeć się odnośnemu ustępowi, to *Bieszczad* jest przedmiotem zainteresowania Długosza tylko pod kątem widzenia wymienionych rzek, które miały w nim swoje źródła. Istotnie, hydrografia o wiele bardziej interesowała naszego autora, niż góry. Warto więc zwrócić uwagę na prawobrzeżne dopływy górnej Wisły, które mają swoje źródła w Beskidach Zachodnich. A więc wymienia Długosz po kolei: Białą, Sołę, Skawę, Rabę, Dunajec Czarny i Biały z dopływami Łososina, Uszew, Poprad i Białą, dalej Wisłokę z dopływem Brzeźnica, Wisłok z dopływem Mlecza. Wszystkie one, z wyjątkiem Dunajca, wypływają według Długosza z Gór Sarmackich (*Sarmatici Montes*), które są zatem tutaj odpowiednikiem Beskidów Zachodnich. Dunajec zaś Czarny i Biały ma swoje źródło *in Alpihus altissimis Hungarie, quorum nivalis semper vertex, qui Tatri a vulgo appellantur*, a zatem w bardzo wysokich Alpach węgierskich, których grzbiety są zawsze pokryte śniegiem, a które przez lud nazywane są Tatrami. Tak więc Tatry przypisał Długosz Węgrom. Spośród dopływów Dniestru, z Gór Sarmackich, tj. z kolei Karpat Wschodnich, wyprowadza Długosz Tyśmienicę (Bystrycę), a także Prut, który jest dopływem Dunaju, nie zaś – jak u Długosza – Seretu; dalej wymienia Mołdawę i Suczawę, wpadające do Seretu – dopływu Dunaju. Wreszcie podaje rzekę Smotrycz, mającą swoje źródło w domniemyanych Wzgórzach Zbaraskich. [...]

Należy postawić tutaj pytanie, dlaczego Długosz – wytrawny, jak na swoje czasy geograf, gdy chodzi o opisy rzek, jezior, położenia miast itp. – miał tak nikłą znajomość gór. Czy był to niedostatek tylko jego wiedzy, czy ogólniejsza cecha ludzi mieszkających na obszarach nizinnych lub równinnych? – Nie ulega wątpliwości, że i w czasach przed-Długoszowych, w XIV wieku, osadnictwo w Beskidach: Niskim, Wyspowym, Wysokim, Sądeckim, Żywieckim, a także na Podhalu, gdzie istniały już Nowy Targ, Szafłary, Harkłowa, Waksmund, było poważnie zaawansowane. Nowy Sącz odgrywał wówczas bardzo znaczącą rolę w handlu. Przez przełęcz karpackie prowadziły uczęszczane szlaki komunikacyjne. O tym wszystkim Długosz dobrze wiedział, widocznie jednak stron tych nie odwiedzał i z górami ich nie kojarzył. Zapewne jeszcze za życia Długosza rozpoczęto poszukiwania górnicze w Tatrach, a w latach 90. XV wieku uczestniczyli w nich nawet – przynajmniej kapitałowo – mieszczańscy krakowscy. Nieznajomość gór u mieszkańców obszarów nizinnych wydaje się oczywista.

JERZY WYROZUMSKI

¹ Przedstawiamy fragmenty tej pracy. Jej całość można znaleźć w <http://www.zwoje-scrolls.com/zwoje44/text14p.htm> (AMK)

Wytyczanie drogi¹

Jerzy Lesław Wyrozumski [JLW] – Urodziłem się w Trembowli 7 marca 1930. W r. 1937 rozpocząłem szkołę w Trembowli, do drugiej klasy chodziłem we Lwowie. Rano 31 sierpnia 1939 przyjechaliśmy ze Lwowa do Trembowli. Na stacji kolejowej widziałem, jak 9. Pułk Ułanów Małopolskich, który stacjonował w Trembowli ładował się do wagonów towarowych na wojnę.

Moja najbliższa rodzina, jako nie wojskowa, nie policyjna ani nie ziemiańska, nie była narażona wprost na zsytki sowieckie. Natomiast z dalszej rodziny wywieziono dziewięć osób do Semipałatyrńskiej i Archangielskiej Oblastij. Wszyscy zdolali się wyjść z Sowietów w wojskiem polskim gen. Andersa.

W 1944 r. w kamieniczce mego wuja w Trembowli była cała twierdza: okna zamurowane, drzwi zabarykadowane. Na noc przychodziło tam z okolicznych wsi około dwustu ludzi, uzbrojonych; broń zdobywali po cofających się Niemcach. My też mieliśmy karabin, automat i granaty.

Andrzej Michał Kobos [AMK] – *Trembowla jest miastem słynnym z obłężenia przez Turków w 1675 r. Powiedział Pan kiedyś: „Krajobrazy Podola wracają w moich snach”. Jak ten kraj lat dziecińczych tkwi w Panu?*

JLW – Tkwi. Do Polski nigdy nie wracaliśmy. Tam na Kresach była nasza Polska, która od nas odeszła. Pobyty tam, które zdarły mi się po wojnie, bardzo psują mój obraz ze snów, obraz zapamiętany z dzieciństwa. Wszystko zmieniło się, nie zawsze na korzyść i to bardzo boleśnie dotyka. Zamek stoi w ruinie. Sylweta zamku dominowała nad miastem, ale dzisiaj przybysz go nie widzi – zarósł drzewami, spośród drzew wystaje tylko mały fragment murów. Był również pomnik heroiny oblężenia, Anny Doroty Chrzanowskiej z mieczem w ręce, zrobiony z wapienia, na szerokiej podstawie. Potem miejscowi Ukraińcy z trudem zrąbali pomnik siekierami i wyrócili tę postać.

Mieszkaliśmy w Trembowli do nocy sylwestrowej 1944/1945. Wyjechaliśmy pierwszym zorganizowanym transportem. Jechało się tylko z jakimś legowiskami i z najpotrzebniejszym sprzętem domowym; dobrze, że wagon był z dachem. Zatrzymaliśmy się w Przemysłu do początków kwietnia 1945, kiedy to Polski Związek Zachodni zorganizował transport do Bydgoszczy. Jechaliśmy ze dwa tygodnie. Wojna dogasała. Pamiętam jeszcze niemieckie bombardowanie cukrowni w Żninie.

Potem przydzielono nas do ciasnej kwatery u sympatycznego gospodarza (p. Zielińskiego) w małym miasteczku Kcynia, gdzie mieszkaliśmy przez całe lato 1945 r. Z siostrą jeździliśmy do gimnazjum w Wągrowcu, codziennie 35 km pociągiem. Wyjeżdżaliśmy o 6 rano a wracaliśmy o 6 po południu. Na bocznych liniach kolejowych pociąg jeździł bardzo regularnie; w Wielkopolsce umiano się szybko zorganizować. Ten pierwszy po wojnie rok szkolny skończył się 15 sierpnia. Mam świadectwo pierwszej klasy gimnazjalnej, a siostra drugiej gimnazjalnej – oba z Wągrowca. Od września 1945 mieszkaliśmy w Zielonej Górze; tam chodziłem do drugiej gimnazjalnej.

AMK – *Jak Pan i Pańska rodzina znaleźliście się w Koźlu?*

JLW – To była próba jakiejś stabilizacji. Po rozmaitych poszukiwaniach miejsca do życia, we wrześniu 1946 przesiedliliśmy się do Koźla, gdzie mieszkała już część naszej rodziny, która wyjechała z Kresów później. Tam przez cztery lata chodziłem do gimnazjum i liceum począwszy od trzeciej gimnazjalnej. I tam zetknąłem się w jednej klasie z Józkiem Siciakiem.

AMK – *A skąd wzięło się imię Leszek, bo tak zwracają się do Pana przyjaciele?*

JLW – Inaczej. Skąd wziął się Jerzy? Ja zawsze byłem Leszek. Opuściliśmy Trembowlę dosyć pośpiesznie i ja nie miałem wyciągu metryki urodzenia. Początkowo jedynym naszym dokumentem była karta ewakuacyjna z danymi wprowadzonymi w Trembowli. W 1948 r. trzeba było uzyskać właściwe dokumenty. Wówczas pisało się do archiwum w Łodzi, gdzie zebrano księgi metrykalne z Kresów. Jeżeli to archiwum nie miało odpowiednich ksiąg, to zwracało się do sądu o wyrobienie dokumentu. W Łodzi nie było ksiąg z Trembowli. Najstarsze świadectwo szkolne miałem z Trembowli. I do dziś dnia nie wiem, dlaczego na tym świadectwie szkolnym jestem Jerzy Wyrozumski.

Sędzia w Koźlu był nieustępliwy. Powiedział, że to jest najstarszy mój dokument. I tak sądownie dostałem pierwsze imię Jerzy, drugie Lesław.

Po latach, mój młodszy kolega, Waldemar Bukowski, trafił we Lwowie na księgi metrykalne z Trembowli i napisał artykuł o Wyrozumskich z Trembowli. Rodzina była tam znana od połowy XVII w. Wypisał moje dane z tych ksiąg i wszystko się zgadza: imiona rodziców, siostry i moje – Lesław. Dzisiaj już wiem, że pierwsze moje imię zostało zapisane jako Lesław, drugie Grzegorz i trzecie Antoni. Jerzego w ogóle tam nie ma. Nauczycielka pomyliła się na moim świadectwie. Nikt tego wówczas nie dochodził, wydawało się to mało ważne, i tak zostało – przylgnęło do mnie przez przypadek.

AMK – *Profesor Józef Siciak powiedział mi, że z równym sukcesem mógł Pan być zostać matematykiem. Jak to się stało, że wybrał Pan historię na Uniwersytecie Jagiellońskim?*

JLW – Długo się łamałem. Po „małej maturze” trzeba było zdecydować się na typ liceum: albo matematyczno-fizyczne, albo humanistyczne. W liceum humanistycznym łaciny było dużo, sześć godzin tygodniowo, czytało się autorów. Bardzo łacinę lubiłem. Obowiązywały nas jeszcze tłumaczenia z polskiego na łacinę, w pewnym sensie czynna znajomość. Najpierw marzyłem o politechnice i rozmawiałem z wychowawczynią klasy, chemiką. Zapytałem ją, czy można pójść do liceum humanistycznego a potem starać się na politechnikę? Pamiętam jej odpowiedź: „Byłoby nieuczciwie zabierać komuś miejsce, a potem zmieniać”. I wtedy, po długich deliberacjach postanowiłem, że będę „humanistą”. I nie żałuję tego. Dlaczego wybrałem historię? To mnie po prostu interesowało. A Uniwersytet Jagielloński, bo był sławny...

AMK – *Jak wyglądał stalinizm na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego?*

LJW – Gdy wstępowałem na studia w 1950 r., był to Wydział Humanistyczny. Wówczas były tu jakby dwa światy. Jeden świat to były wykłady i profesorowie, dla których jakby nic się nie zmieniło. Przykładowo, historię starożytną wyładał prof. Ludwik Piotrowicz, który wręcz demonstrował stanowisko antydoktrynalne. Dla Piotrowicza marksizm nie istniał, a jeżeli wyrażał się na ten temat, to zawsze źle. Dla prof. Romana Grodeckiego też jakby nie istniał. Dla nas była to oaza. Profesorowie, z którymi wówczas stykałem się, po prostu reprezentowali naukę.

Nieco później wprowadzono tzw. koła przedmiotowe, które miały służyć ideologizacji. Muszę powiedzieć, że prowadzący te zajęcia z swojego zadania nie wywiązywał się gorliwie. Były jednak również komunistyczne organizacje młodzieżowe, narady produkcyjne, prasa, którą w nas wmuszano – to wszystko był nachalny nacisk, koszmar. Był też przedmiot ideologiczny: marksizm-leninizm, który zresztą zmieniał swoją nazwę. Ale – powtarzam – z drugiej strony istniał jakby inny świat – świat nauki, nietknięty ideologią.

AMK – *Jak to się stało, że wybrał Pan Średniowiecze?*

JLW – Mnie zafascynowała historia gospodarcza, dlatego że ogromnie fascynowały mnie wykłady z historii gospodarczej i społecznej prof. Romana Grodeckiego. Był mediewistą, świetnie znającym źródła. Przed wojną habilitował się do historii średniowiecznej, a później rozszerzył habilitację na historię gospodarczą i otrzymał Katedrę Historii Gospodarczej i Społecznej. Dużo posługiwał się łaciną. Przypuszczam, że mój „wybór” jego osoby określił wtedy mój kierunek. Od drugiego roku studiów, czytałem sporo średniowiecznych tekstów łacińskich, a potem do pracy magisterskiej musiałem przestudiować mnóstwo zapisek sądowych. Respekt dla źródła historycznego zaszczerpił we mnie prof. Grodecki. Nie mówił niczego, czego sam nie zweryfikował był w źródłach. Szanował opracowania innych, gdy brał coś z literatury, to zawsze powoływał się, że ten i ten uważa tak a tak.

Profesora Romana Grodeckiego uważam za swojego Mistrza, wywarł on na mnie bardzo duży wpływ. Od 1955 r. byłem bardzo blisko z nim związany jako asystent, nawet kiedy był już na emeryturze. Zostawił mi swoją bibliotekę. Grodecki wytyczył moją drogę.

¹ Fragmenty rozmowy JLW z AMK „Respekt dla źródła historycznego”, zamieszczony w *Po drogach uczonych*, t. 2, s. 603–627, PAU, Kraków 2007.